Nr. 42 Poznań, dnia 18 Października 1908 r. Rok XII.

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 97.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść: „Straż.“ — Nieco o kwestyi robotniczej. — Słowianie południowi I. Chorwacya. — Roman Szymański. (Ciąg dalszy). — Album posłów polskich w sejmie pruskim. — Sztuka na wystawie w Krakowie. Z teatru. — Elstera. (Wiersz) — Walne zebranie Kółek rolniczych w połączeniu z wystawą. — Dział kobiecy. — Z bieżącej chwili. — Nowe książki i treść pism. — Nasze ryciny. — Z ojczystych stron. Zwierzyniec pod Krakowem. — Myśli z pism Deotymy. — Śpiew narodowy. — Kiedy mi smutno. (Wiersz). — Wzór silnej woli. — Kiedy się to skończy. (Humoreska). — Wiadomości. — Nekrologia. — Od Redakcyi. — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Łamigłówka. — Ogłoszenia.

Powieści: Rozczarowanie. (C. d.) — Na skrzydłach Ikara. (C. d.) — Jeden z moich synów. (Ciąg dalszy.)

Illustracye: albumowa: Król Wajdelotów. — Portrety posłów: a) mecenasa dra Seydy z Katowic, b) gospodarza Ludwika Raczka z Nowych Zagród i c) ks. Kapicy z Tychów. — Książe Józef Poniatowski. — Pięć rycin do artykułu p. t.: „Walne zebranie Kółek rolniczych.“ — Ferdynand, car Bułgaryi. — Bielany pod Krakowem. — Konik zwierzyniecki. — Wesele krakowskie. — Samum na Saharze. — Głuszcze. — Dwie ryciny humorystyczne: „Wspaniałomyślny“ i „U lekarza.“

„STRAŻ.“

Na wiosnę miną cztery lata, kiedy założono „Straż.“ Stało to się skutkiem anonsu hakatystów, wzywających do bojkotu polskich kupców podróżujących. Rozwydrzenie Hakaty sięgało wówczas prawie szczytu, a ponieważ towarzystwo to na ziemi naszej coraz silniejsze zapuszczało korzenie, coraz szersze zataczało kręgi, nasuwała się myśl sama przez się, aby dla odporu naciskającej z wszech stron germanizacyi, zorganizować się w obronie dóbr narodowych w podobny sposób. Pohop dał pierwiastek ekonomiczny, posiadający u nas — niestety — największe znaczenie; za nim szła sprawa obrony prawnopolityczna i idea oświatowa.

Myśl zespolenia całego społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim była jakby wyjęta z serca i uczuć wszystkich. Hasło współdziałania bez względu na istniejące różnice polityczne w społeczeństwie i rozbieżność interesów stanowych za wzorem Czechów, musiało znaleźć żywy oddźwięk od Pucka do Mysłowic i w koloniach polskich aż pod Ren. Dzisiaj musimy sobie powiedzieć szczerze i otwarcie, że społeczeństwo do tak wysokiego, a gwarantującego najlepiej jego byt narodowy zadania, nie dojrzało. „Straż“ zadania swego nie spełniła. Jeżeli zaczniemy od mniejszego winowajcy, to rozpatrzmy się po krótce w niej samej.

Program tak olbrzymiej organizacyi nie mógł być od razu jasnym; należało rozwinąć go ostrożnie od małych początków, mniej obiecywać, a więcej czynić. Tymczasem były obietnice nad możność, a nie było żadnej wydatniejszej pracy. Mało mamy ludzi, którzy imają się wogóle społecznego działania, a jeszcze mniej takich, którzy to robią z zapałem, z żywiołową energią. Ci nie liczni, to jakby słupy, do których przywiązane są okręty; trzymają je i chronią przed zagładą, ale naprzód ich nie posuną.

Tych samych działaczów na wszelkich naszych społecznych polach powołano znów do kierownictwa „Straży.“ Znużeni pracą, rozczarowani innemi niepowodzeniami, poniekąd z musu poczęli chodzić w nowym zaciągu, nie zdolni do wlania sił żywotnych w dopiero co powstałą instytucyę. Trochę lepiej miała się rzecz początkowo na prowincyi.

Tam młode obywatelstwo wiejskie i duchowieństwo, siły jeszcze świeże, niezużyte, zrazu pracowały gorliwie i ze skutkiem, chociaż hamulcem w prawidłowym rozwoju był im sam Zarząd „Straży“ w Poznaniu, pracownik ciężki i niezbyt sprawny.

Rząd pruski na pracę tę, poczętą i rozwijającą się w granicach konstytucyi, patrzał oczywiście z niechęcią najwyższą, a niemal z przestrachem. Wrzawę wszczęli hakatyści, do których cechu z obowiązku wszyscy urzędnicy należeć muszą, zatem drugi rząd, silniejszy, bo bliższy. Chodziło o osłabienie pierwszej prawdziwej i stałej organizacyi polskiej. Należało jej odebrać najgorliwszych działaczów, tj. duchowieństwo i pod tym względem poczęto wywierać nacisk na zmarłego ks. Arcybiskupa. Pretekst dało niewłaściwe, zresztą małoznaczące wystąpienie jednego, z starostów „Straży“ na zebraniu w Poznaniu. Równocześnie zaczęły odzywać się głosy z obozu umiarkowanych żywiołów naszych, a ponieważ wpływ ich był znaczny, więc za duchowieństwem odpadło zaraz i obywatelstwo wiejskie. „Straż“ wydawała się za radykalną, za głośną.

I z tą samą chwilą pokazało się, że społeczeństwo nasze poza temi czynnikami niema prawie elementu, dorównującego sferze duchownej i obywatelskiej znaczeniem i pracą. „Straż“ oparta na mieszczaństwie, straciła od razu swą aureolę, z nią również i pracowników.

Drugim, większym winowajcą, było społeczeństwo samo, które nie dość raźnie przyłożyło ręki do zbożnego dzieła, nie dość wytrwale współpracowało, lecz pogrążone w walce o byt, pochłonięte troską o chleb codzienny, pozostawiło na łasce Opatrzności losy instytucyi, która, dobrze pokierowana, mogła niezmierne usługi oddać społeczeństwu.

Nie dalej, jak dwa tygodnie temu padły z ust kierownika naszej nawy ekonomicznej ważne słowa: są miliony składek w bankach, ale niema ruchu; jest zarobkowość, ale niema przedsiębiorczości! A my dodać możemy: niema ofiarności, niema ideału,

niema życia twórczego. Tego, co potrzeba, nie da nam też obecnie najlepszy ciepłomierz społeczeństwa, prasa polska. I ona jest tylko krytyczna, zamiast być twórczą, i ona raczej dba o zachowanie tego, co jest, zamiast wskazywać nowe drogi, nowe cele dla pracy i ducha.

W najkrótszym czasie ma nastąpić reorganizacya „Straży.“ Niema nikogo, któryby jej potrzeby nie uznał. Chociaż życzenia co do dalszej pracy „Straży“ w niejednem się rozchodzą, wszyscy jednak odmawiają jej pomocy i ofiar. „Straż“ chciała zabór nasz uspołecznić od góry i to jej się nie udało. Teraz pragnie organizacyę rozpocząć od dołu, powoli, systematycznie, bez grzmotu dział i fanfar zwycięstwa. Chcemy wierzyć w lepszy skutek. Łatwo nakryć głowy lub schować je w piasek. Trudniej, lecz wdzięczniej iść naprzód z silną wolą i niezachwianą wiarą w rozbudzenie pierwiastków, w narodzie naszym dotąd drzemiących. „Straż“ ma za sobą bolesne doświadczenia. Kierownicy jej winni z nich skorzystać, społeczeństwo polskie zaś winno tego w gruncie duszy nurtującego pragnienia zespolenia się, zorganizowania na polu oświatowem i narodowo-społecznem nie tamować, lecz z wszech sił popierać.

Pamiętajmy, że będziemy takimi, jakimi się stworzymy. Nie czas będzie później załamywać ręce nad sobkostwem i materyallzmem, nad zamarciem ideałów, skoro teraz pragnieniom szczerym i dążeniom dobrym zamkniemy serca. Ideał nasz jasno nakreślony mamy w nieśmiertelnej „Odzie do młodości.“ Nigdy jeszcze tak donośnie nie pukały do duszy naszego narodu wieszcza słowa:

Hej ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...

J.

Starość marnotrawcy przygniotą ckliwość, przesycenie, tęsknota, a niekiedy niedostatek i wyrzuty sumienia; oszczędny oddycha do ostatniej chwili piersią pełną pokoju i zadowolenia, bo życiu jego towarzyszy szacunek powszechny, a pamięć jego otoczy wdzięczność potomnych.

Józef Supiński.

* * *

Bóg dał nam oczy w twarzy, abyśmy nigdy poza siebie nie spoglądali.

* * *

Błędy mężczyzn są najlepszymi adwokatami kobiet.

Nieco o kwestyi robotniczej.

Najważniejszą z szeregu kwestyi społecznych niewątpliwie jest kwestya robotnicza. Wynika to, chociażby z tego, że wielu społeczników—dyletantów całą rozległą kwestyę społeczną sprowadza do rozmiarów kwestyi robotniczej. Ważność kwestyi robotniczej najlepiej poznamy, jeżeli sobie uprzytomnimy, że interesowaną nią jest najliczniejsza warstwa społeczeństwa (80—90% całej ludności) bezpośrednio zaś całe społeczeństwo. W obecnych czasach, kiedy system wyborczy coraz więcej się demokratyzuje, wpływ mas robotniczych na politykę, a w konsekwencyi na przyszłość kraju społeczeństw i ludzkości coraz się staje większym. Również dla Kościoła stanowisko, jakie wobec niego zajmie świat robotniczy, jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Zatem obowiązkiem tak miarodawczych czynników, przedewszystkiem odpowiedzialnych za przyszłość kraju, jak samegoż społeczeństwa, a z pośredniego głównie żywiołów materyalnie i intelektualnie wpływowych, jest badanie kwestyi robotniczej i celowe działanie, skierowane ku rozwiązaniu tego trudnego i złożonego zagadnienia.

Położenie robotnika jest ze wszech miar niezadowalającem. Głównie ciężkie jest położenie robotnika pod względem zarobkowym. Z tego źródła płynie dużo innych braków i niedogodności, powodujących ciężką dolę robotnika. Należy do nich: brak dostatecznej oświaty, utrudniający robotnikowi walkę o byt; upośledzenie towarzyskie, będące źródłem wielu upokorzeń i podsycające nienawiść klasową; nadmiernie długi czas pracy niszczący siły robotnika; praca kobiet i dzieci, z których pierwsza odbija się najfatalniej na stosunkach rodzinnych robotnika, podczas gdy druga przyczynia się do zwyrodnienia jego potomstwa i inne, które wyliczać za daleko by prowadziło. Dalej mają robotnicy powód do skarg na wyzysk ze strony kapitalizmu, w obec czego są bezbronni; na niedostateczne uwzględnienie wskazań hygieny przy urządzaniu fabryk i warsztatów; na przeciąganie czasu pracy; na niebezpieczeństwa zagrażające moralności bądź to samych robotników, bądź ich żon lub dzieci; na ograniczanie lub uniemożliwianie akcyi koalicyjnej i na wiele innych upośledzeń najróżnorodniejszego rodzaju, nie najmniej na upośledzenie ze strony politycznych partyj burżuazyjnych, chcących bądź to lud zbawić bez współdziałania ludu, bądź też opowiadających się głośno za hasłem: przez lud dla ludu, lecz odsuwających skrzętnie robotników od wybitniejszej pracy politycznej a przedewszystkiem od mandatów poselskich, darząc niemi osobników z warstw „dojrzałych“ i politycznie „wyrobionych.“

Litania skarg i krzywd robotniczych jest tak wielka, że trudno w krótkim artykule dziennikarskim wszystkie wyliczyć, wszystkie przemierzyć, a pożegnać się należy zupełnie z nadzieją, by wszechstronna sanacya tych stosunków mogła się dokonać przez lat kilka lub kilkadziesiąt. Raju na ziemi nie ma i nie będzie. Nie sprowadzi go ani socyalizm ani chrześciańska akcya społeczna. Jednakże spodziewać się należy choćby częściowego usunięcia najbardziej krzyczących niesprawiedliwości, a że to nie jest mrzonką, o tem pouczają postępy, jakie sprawa robotnicza poczyniła w ostatnich latach i liczne ważne naprawy, jakie bądź zapoczątkowano, bądź uskuteczniono.

Wszystko to zaś, odbywało się i odbywa pod parciem niezadowolonych mas robotniczych, często przeciwko woli warstw kierowniczych, obawiających się bądź to o materyalne bądź o moralne swe wpływy i interesa. A jeżeli tyle dokonano w obecnych warunkach, ile jeszcze dokonać będzie można z chwilą, gdy hasło naprawy społecznej wszechstronnie zrozumianem i należycie popartem będzie i to nie tylko w izbach ustawodawczych, lecz przedewszystkiem tam, gdzie sprzeczne interesy pracodawcy i pracobiorcy najostrzej się uwydatniają tj. w praktyce codziennego życia zarobkowego.

Pierwszym jednak warunkiem wszelkiej naprawy jest znajomość przedmiotu. Dotąd znajomość ta jest zupełnie niewystarczająca i to zarówno u warstw wyższych, jak u warstw bezpośrednio interesowanych. Stąd wielka bezczynność u jednych, a zupełne spaczenie wszelkich zdrowych poglądów społecznych u drugich — stąd jedni chcieliby robotnika bądź to wodzić na pasku swych własnych interesów, bądź uszczęśliwiać go jałmużną, — stąd robotnicy często tak łatwowierni są w obec wszelkich proroków naprawy społecznej i stają się — szczególniej w wielkich miastach — łatwym łupem dla socyalistycznych demagogów.

Wadliwe zapatrywania społeczne rodzą wadliwe zasady — przenoszenie

zaś wadliwych zasad społecznych w praktykę życia wytwarza niezdrowe stosunki.

Należy więc poddać rewizyi utarte zapatrywania i zasady, jakiemi się rządzimy w sprawie robotniczej i zachowując to, co dobre, odrzucać przeżytki minionych wieków, przestarzałych wyobrażeń, mających racyę bytu za czasów Jagiełły, lecz stanowczo szkodliwych w wieku powszechnych wyborów, pary, elektryczności i wysokiej kultury materyalnej, która w postaci lichej tandety niemieckiej wtargnęła do chaty ostatniego wyrobnika i wzbudziła w nim pożądania nieznane bodaj ojcom, a napewne dziadom jeszcze.

Nic tu nie pomogą deklamacye na temat patryarchalnej prostoty dawnych „lepszych“ czasów — nic nie sprawią ekshorty moralne na temat szczęśliwości pozagrobowych. Dziś robotnik obudził się do pełnego życia i od życia wymaga zaspokojenia swych pragnień, skala których rośnie i rosnąć będzie z każdą generacyą, z każdym postępem ludzkości w dziedzinie kulturalnej i cywilizacyjnej.

Dziś praca społeczna nie może się zwracać w kierunku przeciwnym obecnemu postępowi, lecz musi płynąć z jego falą, musi wyławiać z niej jaknajwiększą sumę szczęścia dla wszystkich ludzi, a przedewszystkiem dla tych warstw, które równe z innemi mając do szczęścia prawa, najmniej lub wcale go nie zaznały.

To też z szczerą radością każdy przyjaciel ludu robotniczego wita każdy objaw budzącego się sumienia społecznego, każdy przyczynek pomnażający dorobek literatury społecznej, każdą uczciwą książkę, szerzącą zrozumienie nad wyraz złożonej, a jednak rozwiązalnej kwestyi robotniczej, rozwiązalnej nie za pomocą jednej warstwy, nie za pomocą egoizmu klasowego, nie za pomocą gwałtu, lecz na podstawie chrześciańskiej, za zgodnem współdziałaniem wszystkich warstw społecznych, wszystkich czynników dodatnich, kierowanych względem na dobrze zrozumiany interes własny, kierowanych altruizmem czyli zasadą miłości bliźniego.

Taką pracą rzetelną, dodatnią i pożyteczną, bo niosącą świadomość doniosłości kwestyi robotniczej i szerzącą zrozumienie wszechstronnej i zasadniczej akcyi społecznej, jest nowe dziełko księdza dra Zimmermanna, autora wielu doskonałych prac socyalno-politycznych, rozsianych bądź to w rocznikach wybornie przezeń redagowanego czasopisma, bądź to wydanych osobno.

Broszura ta, na którą pilną uwagę czytelnika zwracamy i której życzymy w interesie tak robotników, jak całego społeczeństwa jak największej liczby czytelników, ukazała się drukiem i nakładem Drukarni i księgarni św. Wojciecha. Tytuł jej następujący: **Znaczenie stanu robotniczego dla społeczeństwa i Kościoła** przedstawił ks. Kazimierz Zimmermann doktor ekonomii politycznej, prałat kolegiaty poznańskiej, redaktor „Ruchu chrześciańsko-społecznego.“

W stósownym czasie powrócimy jeszcze do tej książki i damy z niej bardziej szczegółowe sprawozdanie.

DYONIZY KRÓLIKOWSKI.

Słowianie południowi.

I.

Chorwacya.

Liepa[1]) nasza domowina,
Oj, hrwalska zemljo mila,
Stare slawe djedowina[2]),
Daj o Boże czastna bila!
Mila kano si[3]) nam slawna.
Mila si nam, ti jedina,
Mila Kuda si nam rawna,
Mila kuda si planina[4]).

Słowo wstępne.

Słowiańszczyzna była nam Polakom zawsze blizką i drogą; nigdyśmy nie zapierali się pochodzenia słowiańskiego i niczem w ciągu długich dziejów wobec Słowian nie zgrzeszyli.

Największy z naszych poetów, Adam Mickiewicz, był szczerym przyjacielem Słowian i słowianofilem był Słowacki, Staszyc, umysł najtrzeźwiejszy i patrzący daleko w przyszłość, to wielki miłośnik Słowiańszczyzny, nasi filozofowie, jak Trentowski widzieli w Słowiańszczyźnie jaśniejszą przyszłość całej ludzkości, największy zaś z malarzy — wieszczów, Artur Grottger stworzył wspaniały obraz, przedstawiający wizyę Słowiańszczyzny: posąg olbrzymi kobiety, będący na wykończeniu, która trzyma w jednej ręce sztandar w pół rozwinięty, gdy druga zdaje się zawisła nad całym światem.

Los pobratymców zawsze nas żywo obchodził i jeszcze podczas ostatnich walk w roku 1875 o niepodległość Serbii walczyli w szeregach serbskich Polacy, których nazwiska Serbowie w drogiej zachowują pamięci.

Imiona królów naszych Władysława Warneńczyka, Władysława IV. króla Jana Sobieskiego znane są każdemu południowemu Słowianinowi i nikt też inny tylko Polska złamawszy potęgę turecką, dała Słowianom bałkańskim wolność, gdyż umożliwiła łatwe zwycięztwo Rosyi.

Jeżeli nasza przeszłość związaną była ze Słowańszczyzną, jeżeliśmy pewne wobec niej położyli zasługi, to teraźniejszość niechaj nas od niej nie oddala; nie zrywajmy z nią nici ostatnich, lecz starajmy się żyć o ile to możliwe w dalszej duchowej jedności.

* * *

Kto wśród Słowian południowych przebywał choćby tylko czas krótki, przysłuchiwał się dźwiękom ich mowy, śledził ich choć tylko pobieżnie, przyzna, że język i ludzie nie są mu obcy, że pomiędzy nimi a nami istnieje podobieństwo, jakiego u innych narodów nie znajdzie. Ktoby natomiast dłużej wśród naszych pobratymców przebywał, kto pozna ich język, literaturę, dzieje, ich zwyczaje, pieśni i sztukę, ten dowie się że łączą nas węzły krwi, serca i ducha, że to podobieństwo, które istnieje jest podobieństwem braterskiem.

Wśród narodów słowiańskich są bliższe i dalsze nam językiem, zwyczajami lub charakterem, najbliższymi językowo są nam Słowacy i Czesi, ale najbliższymi usposobieniem i charakterem to Słowianie południowi, zwłaszcza Chorwaci.

Chorwaci w południowej Słowiańszczyźnie odegrali podobną w niejednem rolę będąc słowiańskim narodem katolickim, jaką Polska odegrała w Słowiańszczyźnie północnej.

W niniejszej pracy chcemy zaznajomić Czytelników z przeszłością i teraźniejszością, o ile to w szczupłych rozmiarach dziełka możliwe, Chorwacyi i Serbii, stanowiących, jak wiadomo, jeden naród i jeden szczep południowo-słowiański.

To też Chorwacya przypomina w niejednem Polskę. Chorwaci posiadają legendę o Lechu, Czechu i Rusu; zamiast Rusa jest w niej mowa o Mechu i dotychczas pokazują miejsce Krapina, skąd owi trzej bracia słowiańscy mieli wyjść w świat, aby później spotkać się w Poznaniu.

Chorwacya posiada liczną szlachtę, są tam takie zaścianki szlacheckie jak w Polsce. Naszym apostołem i ich apostołem był św. Metody. Jak Polskę tak i Chorwacyę nazywano z powodu ciągłych walk z Turkami przedmurzem chrześciaństwa.

Takie samo jak u nas, jest u Chorwatów przywiązanie do Kościoła katolickiego i cześć dla duchowieństwa, ta-

---

[1]) Urocza, piękna. [2]) Kiedyś. [3]) Kędyś [4]) Górzystą.

ką samą gościnność. Słusznie też Chorwacyą nazywano Polską południowej Słowiańszczyzny.

Wielkie zamiłowanie jest też wśród Chorwatów dla rzemiosła wojennego, ztąd pochodzi, iż procent oficerów chorwackich w armii jest bardzo znaczny i że Chorwaci na wyższych stopniach wojskowych posiadają wielu swoich przedstawicieli.

Rozdział I.

Komu zawdzięczamy pierwsze wiadomości o Słowianach południowych? — Czemu Słowianie południowi wcześniej aniżeli północni występują na widownię dziejów? Szafarzyk i nowsi historycy. — Legiony rzymskie i Słowianie. — Flawiusz Trajan carem w bułgarskich pieśniach ludowych. — Wojenne wyprawy słowiańskie na morzu. Pierwsze organizacye państwowe.

Pierwsze wiadomości o Słowianach południowych zawdzięczamy historykom rzymskim i greckim, którzy wówczas je podali, gdy nastąpiło zetknięcie się państw tych ze Słowiańszczyzną. Południowi Słowianie, jako znajdujący się bliżej Greków, weszli najpierw w styczność ze światem greckim. Tam, gdzie Słowianie stykali się bezpośrednio z narodami starożytności, posiadającymi kulturę, występują na widownię już w pierwszych wiewiekach po Chrystusie, gdy o Słowianach północnych przedostały się wiadomości około pół tysiąca lat później.

Szczepy słowiańskie, zamieszkujące kraje naddunaiskie het ku południowi do krajów greckich, znane są dzisiaj pod nazwami Słowieńców, Serbów, Chorwatów i Bułgarów. O ich początkach wie historya bardzo mało; wyniki najnowszych historyków zgadzają się z wynikami badań Szafarzyka, że pojawili się równocześnie z Keltami, Grekami i Rzymianami w Europie, że tam gdzie przemieszkują obecnie byli w latach niepamiętnych.

Mieszkańcy Bośni zachowali dotychczas zwyczaje, które historyk rzymski przypisuje Dakom (apud Dacos mares quoque corpora inscribunt. — U Daków mężczyźni także malują ciało). I zwyczaj malowania ciała zachował się dotychczas w niektórych okolicach Bośni.

Gdy państwo rzymskie poczęło upadać, wystąpili Słowianie południowi w roli jego spadkobierców.

Cesarze rzymscy szczególną pieczołowitością otaczali ziemie bałkańskie; były tu już za czasów Nerona drogi bite, legiony rzymskie rekrutowały się głównie ze Słowian bałkańskich. Zdobywca Dacyi, Flawiusz Trajan, głównie sławę swoją wojenną zawdzięcza temu, że zdołał plemiona słowiańskie pokonać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Roman Szymański.

Napisał
Józef Siemianowski.

(Ciąg dalszy).

Polityka ugodowa sprowadziła na społeczeństwo polskie ciężkie, wewnętrzne walki. Gdy Szymański ani pozyskać się nie dał dla jej myśli, ani zastraszyć się nie pozwolił, rozpoczęto przeciwko niemu zaciętą walkę. On sam zresztą nie był tym, któryby się cofał przed walką lub jej się lękał. Podjął rzuconą rękawicę.

Zwrócił się do **demokratycznej inteligencyi,** aby pozyskać ją dla siebie. Doznał atoli zawodu. Nie było ani żywej duszy w tych kołach, którąby miała odwagę głośno i publicznie opowiedzieć się przy nim, przy **„Orędownika,"** do którego przyłączył się także **„Postęp."** Jedni z tej inteligencyi sympatyzowali wprawdzie z jego kierunkiem, z jego myślą a nawet walką, podzielali ją w duchu, złorzeczyli polityce ugodowej, buntowali się przeciwko niej w swych kółkach, ale publicznie, gdzie trzeba było stanąć z otwartą przyłbicą, poświęcić swe imię i nazwisko, co naówczas było konieczne, nie mieli odwagi tego zamanifestować. Inni politykowali po swojemu. Raz złorzeczyli polityce ugodowej, to znów walce prowadzonej przez „Orędownika" i „Postęp," zarzucając im, że posługują się „formami brutalnemi." Jak gdyby o tego rodzaju walkach rozstrzygały „formy salonowe!" Inni wreszcie zachowywali wygodne milczenie, wyczekując wypadków przyszłych, w duchu durząc się także nadziejami polityki ugodowej. Byli wreszcie i tacy, co głośno potępiali „hałaśliwą" politykę „Orędownika" i „Postępu."

Większego jeszcze zawodu doznał Szymański w kołach mienniejszego i majątkowo lepiej sytuowanego **mieszczaństwa.** Były wprawdzie pomiędzy niem wyjątki, ale te wyjątki można było — dosłownie — na palcach policzyć. Po za tem całe masy tego mieszczaństwa, dla podniesienia którego Szymański tyle pracował, tyle trudów i zachodów położył, w ciężkiej chwili obróciły się przeciwko niemu i poszły za prądem polityki ugodowej.

Pozostały przy nim jedynie szerokie masy warstwy rzemieślniczej, drobnego przemysłu i ludu z dobrym instynktem politycznym. Ale pozostały mu wierne, zapatrzone w swego wodza z wiarą i ufnością; a ożywione jedną myślą, zdawały się wołać: Prowadź! My przy Tobie do ostatniego tchu!

I poprowadził.

A poprowadził tak, że z kół tej warstwy rzemieślniczej i drobnego przemysłu skuł i stworzył najpierw **stronnictwo ludowe,** następnie **ruch ludowy,** którzy już po kilku latach tak spotężniał, że cień jego zaczął padać na cały zabór i na tych, co go ignorowali i lekceważyli; **ruch ludowy,** który dziś rozrasta się w olbrzyma i siłą olbrzyma na skrzydłach swych roznosi po całym kraju wielkie idee i zasady wielkiego ich twórcy.

W skromnej mej pracy nie podobna mi skreślić wszystkich nawet wybitniejszych momentów, z czasów walki ruchu ludowego z polityką ugodową, bo na szczegółowe przedstawienie tego właśnie okresu z wszystkiemi jego wypadkami, momentami i szczegółami potrzebna byłaby osobna i to obszerna broszura. Ograniczyć się więc muszę na to, co koniecznie podnieść należy.

Walka koncentrowała się głównie w Poznaniu, ale nie mniej przenosiła się na prowincyą, gdzie w wielu stronach wcale nie ustępowała walce w stolicy Księstwa. W Poznaniu utworzony został **Ludowy komitet wyborczy.** Nie zajmował się on jedynie samemi wyborami, ale kierował całą akcyą polityczną ruchu ludowego. A więc urządzał wiece, zwoływał zjazdy delegatów i mężów zaufania z prowincyi do Poznania, układał razem z nimi plany i projekty przyszłej działalności, jednem słowem był politycznym kierownikiem ruchu ludowego. W wszystkich tego rodzaju zjazdach, naradach i konferencyach Szymański zawsze brał udział.

Ruch ludowy po dwa razy w Poznaniu zerwał przy wyborach parlamentarnych solidarność narodową, a raczej jej nie zerwał, tylko poszedł swoją drogą, nie chcąc pójść szlakami polityki ugodowej.

Miało to miejsce po raz pierwszy w

roku 1893, drugi raz w roku 1898. Eksperyment, gdyby nim stale i systematycznie się posługiwano, niewątpliwie ryzykowny i niebezpieczny dla solidarności narodowej, ale ówczesnemi stosunkami całkiem uzasadniony i prawie jedyny. Z taką też tylko armią, jaka naówczas zgromadzona była koło chorągwi ruchu ludowego, karną, w bezustannych pochodach, utarczkach i bojach wyćwiczoną, politycznie wyszkoloną, można było krok taki zaryzykować bez narażenia sprawy narodowej w przyszłości na poważniejsze niebezpieczeństwa. Po raz drugi zgromadził ruch ludowy na swego kandydata ś. p. **Franciszka Andrzejewskiego** 8000 głosów. Od tego czasu zaczęto się z ruchem ludowym poważnie liczyć. Polityka ugodowa traciła coraz więcej grunt pod nogami. Nie wielu było już takich, co nią się durzyło i jak przed tem całe niemal społeczeństwo pędziło za nią bez głębszego zastanowienia, tak teraz w ogromnej już większości tem ostrzej i gwałtowniej ją potępiało. Byli i tacy, co głośniej ją potępiali, aniżeli sami zwolennicy ruchu ludowego, i zaklinali się, że nigdy jej nie ufali.

Wobec tego nadszedł czas, że należało poważniej pomyśleć, ażeby wśród obywatelstwa, podzielonego ciągle na dwa wrogie obozy i nękanego walkami wewnętrznemi, doprowadzić do porozumienia. Poznań zrobił początek, za nim w mniejszym lub większym stopniu poszła prowincya. Rozpoczęły się układy w stolicy Księstwa. Jak Szymański w chwili stanowczej, w chwili rozpędu polityki ugodowej pierwszy zerwał się do boju, tak teraz, widząc, że dalsze wewnętrzne walki nie mogą mieć dodatniego znaczenia, chwycił się rozumnej myśli pogodzenia wśród obywatelstwa miasta Poznania tych, co stali pod chorągwią ruchu ludowego, z tymi, co walczyli w kierunku ugodowym.

Pośrednikiem pomiędzy dwoma powaśnionemi obozami bratniemi był głównie p. dr. **Antoni Chłapowski** z Poznania, mający mir w ruchu ludowym bądź dla tego, że szczerze z nim sympatyzował, bądź że był osobistym przyjacielem Szymańskiego.

Po drugiej stronie duże położył zasługi podczas toczących się układów p. **Michał Więckowski,** obecnie dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych. Układy przy dobrej woli po obu stronach i wzajemnej wyrozumiałości doszły do skutku. Na miasto Poznań utworzono jeden komitet dla spraw wyborczych, złożony do połowy z zwolenników ruchu ludowego, do połowy z przeciwnego obozu. Przy ogólnych sprawach politycznych zastrzegł sobie atoli ruch ludowy swą samodzielność i jego komitet ludowy się nie rozwiązał. Układy, prowadzone na licznych konferencyach i naradach przedwstępnych, przypieczętowane zostały zgodą na publicznem zebraniu wyborczem na sali Lamberta.

Ruch ludowy z tą chwilą wstąpił w nowy t. j. **drugi** okres. Zyskał na sile i znaczeniu. Wódz jego patrzał z dumą i zadowoleniem na owoce swej pracy. Mógł patrzeć, bo to wszystko było w wielkiej części jego dziełem, dziełem jego rozumu i roztropności politycznej.

. . . .

Dzieje wewnętrznych walk społeczeństwa polskiego ciężko zapisały się tem, że **duchowieństwo** stanęło po stronie polityki ugodowej i przez to dostało się w przeciwieństwo do szerokich mas ludu. Przykro o tem wspominać, ale faktu historycznego przemilczać nie można.

Były to najcięższe chwile, jakie przechodził ruch ludowy. Ze wszystkich stron go potępiano, usuwano się od niego, prawie nigdzie ani odrobinki sympatyi, życzliwości nie miano dla niego, i przepowiadano rychły koniec tak jemu, jak i dwom jego organom publicznym. I trzeba było na owe czasy tak niezłomnego męztwa, tak żelaznej natury, jak Roman Szymański, żeby się nie tylko nie zachwiać, nie tylko nie zwątpić, ale wyjść z tych nierównych zapasów zwycięzko. Na zewnątrz — w tych walkach — pokazywał twarz spokojną, pogodną, bo duma nie pozwalała zdradzić mu się z cierpieniami wewnętrznemi.

Ale cierpiał i cierpiał podwójnie. Raz ponieważ czuł, że krzywda niezasłużona mu się dzieje, a powtóre, że był przekonany o słuszności sprawy, której bronił — nie czasem dla ciasnego stanowiska partyjnego — lecz dla ogólnego dobra narodu. I my bliżsi jego polityczni zwolennicy w komitecie ludowym, tak obywatele z starszej generacyi, co już od roku 1870 dzielili z nim dolę i niedolę polityczną, jak i z czasów ostatnich walk my młodsi, do których i ja się zaliczałem, nieraz z troską na niego i w niego patrzeliśmy, bo czuliśmy, jakie ciężkie wewnętrzne walki stacza w sobie żelazny ten człowiek.

Ale i te ciężkie chwile minęły.

. . . .

Po zgodzie wśród obywatelstwa miasta Poznania, przypieczętowanej na sali Lamberta, ruch ludowy wstąpił w drugi okres. Zwolennicy jego tak w Poznaniu, jak na prowincyi zasiadali w komitetach wyborczych, wpływali na wybór posłów i cały bieg spraw publicznych. Ruch ludowy stanowczą zdobywał przewagę w społeczeństwie i to z roku na rok. Szymański nie spoczął jednak na laurach. Niestrudzony umysł jego ciągle czuwał nad dalszem rozbudowaniem ruchu ludowego. Sięgnął więc znów do **demokratycznej inteligencyi,** ażeby pozyskać ją dla niego, co mu się też w części powiodło przed dwoma laty przez założenie **„Kurjera Poznańskiego,“** około którego zgromadziło się grono inteligencyi miejskiej i wiejskiej, sympatyzującej mniej lub więcej z przewodnią myślą programu Szymańskiego.

Od tego czasu ruch ludowy wstąpił w **trzeci** okres. Okres ten przedstawia się dla niego okazale, bo myśl i program ruchu ludowego ożywia coraz silniej całe społeczeństwo tak w Księstwie, Pr. Zachodnich, jak i na G. Śląsku. Na **zewnątrz** zaś zadaje kłam słowom żelaznego kanclerza, który powiedział, że gdy szlachtę polską wykupi, a księży skrępują, to będzie **finis Poloniae** w zaborze pruskim. Faktycznie system pruski skrępował w wielkiej mierze księży, wykupił wielką część szlachty polskiej przy pomocy Komisyi kolonizacyjnej, ale sprawy polskiej nie zdołał złamać, bo ona opiera się dziś na blisko 4 milionowych masach narodu, mającego bogate doświadczenie polityczne w walce z systemem pruskim i ożywionego takim zasobem poczucia narodowego, że wobec niego system ten z wszystkiemi swemi środkami staje się często bezradny i ztąd drażliwy, zaniepokojony, wprost nieobliczalny przy swych projektach i ustawach antipolskich.

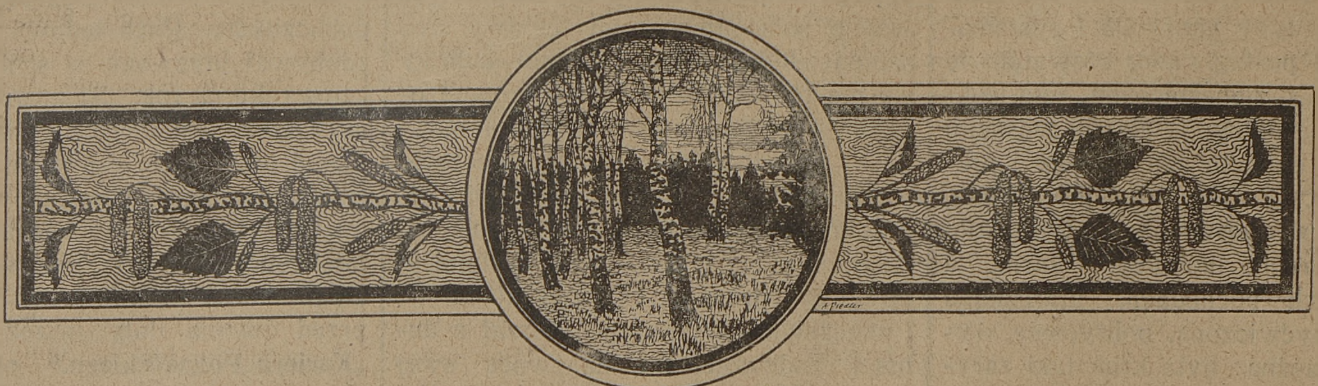
Dziś wódz ruchu ludowego w grobie spoczywa.

Ale pozostała po nim spuścizna, uświęcona jego pracą, trudem, znojem. Pozostało po nim **przykazanie narodowe,** że nasza przyszłość narodowa — nie w kim innym — tylko **w nas samych** spoczywa, a więc w tem, co jest **wiarą w własne siły,** opartą na zbiorowej pracy społecznej **wszystkich** warstw narodu, opartą na roztropności i rozumie politycznym, na pracowitości, pilności, wytrwałości i na wszystkich tych cnotach, które zabezpieczała życie i zdrowie narodowe.

To były hasła bojowe na drodze politycznego żywota jego. Pozostawił nam je w spuściźnie jako **testament polityczny.**

Szanujmy ten testament, bo w nim mieści się wielki skarb moralny, z którego jak z zdroja czerpać będziemy i umocnienie sił i ukrzepienie ducha narodowego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Album posłów polskich w sejmie pruskim.

Koło polskie weszło do nowego sejmu pruskiego, który niebawem rozpocznie obrady, na mocy dokonanych dnia 16-go czerwca r. b. wyborów w liczbie 15 posłów. I to ze Śląska i z Prus Zachodnich po 3, z W. Ks. Poznańskiego 9.

W niniejszym artykule zamieszczać będziemy sylwetki posłów naszych obok ich podobizn według porządku okręgów wyborczych. Pierwszeństwo dajemy prastarej naszej krainie Górnemu Śląskowi, który przy ostatnich wyborach, dzięki zawartemu z Centrum kompromisowi, spisał się tak dzielnie.

A. Górny Śląsk.

Mecenas dr. Zygmunt Seyda

z Katowic, wybrany posłem w okręgu pszczyńsko-rybnickim, urodził się dn.



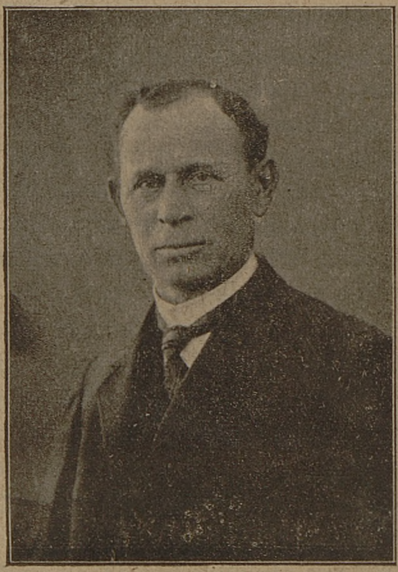
Mecenas Dr. Zygmunt Seyda.

18. 4. 1876 w Poznaniu; uczęszczał tamże do realnego gimnazyum, a następnie do gimnazyum Maryi Magdaleny, gdzie we wrześniu 1893 zdał maturę. Od r. 1893—1896 słuchał prawa i ekonomii politycznej w Berlinie, Lipsku i Wrocławiu. W marcu 1897 zdał w Królewcu egzamin referendaryuszowski a w maju 1897 w Jenie doktorat. Od r. 1897—1902 praktykował przy sądzie w Lesznie i Poznaniu odsługując w tym czasie także wojskowość. W listopadzie 1902 zdał egzamin asesorski. Od lutego 1903 r. praktykuje jako adwokat w Katowicach, biorąc od samego początku żywy udział w sprawach politycznych i społecznych. W epoce żywszego uwydatnienia się idei narodowej na G. Śląsku, stanął od samego początku po stronie ruchu narodowego, broniąc między innymi redaktorów „Górnoślązaka“ w rozlicznych procesach politycznych. Jako bardziej znane procesy, w których występował jako obrońca, wymieniamy proces „Górnoślązaka“ o obrazę ks. kardynała Koppa oraz proces o rozruchy w Laurahucie. Szczególne znaczenie przywiązywał zawsze do pracy na polu kulturalnem i ekonomicznem. Jest przewodniczącym Komitetu wykładów ludowych, delegatem Towarzystwa Czytelni ludowych, głównym skarbnikiem Pomocy Naukowej dla Śląska etc. i zasiada w radach nadzorczych kilku spółek.

* * *

Ludwik Raczek,

gospodarz z Nowych Zagrod pod Raciborzem, wybrany posłem w okręgu raciborskim — urodził się dnia 8-go sierpnia 1857 r. w Starejwsi pod Raciborzem. Był od samego początku i jest zwolennikiem ruchu narodowego na Górnym Śląsku. Należy do współzałożycieli raciborskiego Towarzystwa polsko-górnośląskiego, którego wiceprezesem jest już 17 lat, tj. od samego początku. Również należał do założycieli raciborskiego Banku ludowego. Od założenia tej instytucyi piastował w niej urząd przewodniczącego Rady Nadzorczej, a od 1. kwietnia 1905 r. jest członkiem Zarządu. Na posła do sejmu pruskiego na powiat raciborski obrano go na mocy kompromisu z centrowcami razem z centrowcem ks. dziekanem Stankem z Hulczyna.



Ludwik Raczek.

* * *

Ks. Jan Kapica

z Tychów, wybrany posłem w okręgu opolskim, urodził się 2 lutego r. 1866 w Miedźnie, powiatu pszczyńskiego na Górnym Śląsku. Dom rodziców jego stał blisko karczmy wioskowej, od dziecięcych lat przeto patrzał młody Jan na życie i obyczaje pijaków. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Bielsku i Pszczynie, udał się na uniwersytet we Wrocławiu. 15 czerwca 1892 został wyświęcony na kapłana.

Wkrótce potem został mianowany kapelanem (wikaryuszem) w wielkiej parafii laurahuckiej. Tam pozyskał sobie prędko serca ludu. Założony przez niego związek młodzieńców i mężów w niedługim czasie liczył siedm set członków. Po dwóch latach zbawiennej działalności przeniesiony został jako kapelan do kościoła św. Jadwigi w Berlinie. Tam przez cztery lata sprawował duszpasterstwo w parafii, w więzieniach, szpitalach, szkołach i licznych związkach. Mimo miłych stosunków w Berlinie, młody ksiądz nie czuł się szczę-

śliwym, bo serce go ciągnęło do ojczystego Śląska. W r. 1898 pragnieniu jego stało się zadość; został proboszczem w Tychach, powiatu pszczyńskiego.

Tychy znane są z piwa, wyrabianego w dwóch wielkich browarach. Tutaj, u źródła alkoholu, ks. Kapica zaczął się bliżej zajmować sprawą tej trucizny, zatruwającej narody. Widok wielkiej nędzy i nieszczęścia rodzin wzruszył jego serce, przepełnił go politowaniem i boleścią, ale zarazem wzbudził w nim myśl, ażeby stać się bojownikiem i apostołem trzeźwości.

Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z plagi pijaństwa w całem jej powszechnem znaczeniu. Tylko w piciu gorzałki widział złe.

Rozpoczął swoją czynność od własnej parafii. W październiku wypowiedział 45 nauk przeciwko pijaństwu, ale także o potrzebie moralności i dobrych obyczajów dla poszczególnych stanów, dla mężów, niewiast, dziewic i młodzieńców. Skutek tych nauk był nadzwyczajny. 8 grudnia 1898 założył bractwo trzeźwości, do którego 3500 ludzi czyli 95 procent wszystkich parafian przystąpiło. Karczmy stały się puste. Kary policyjne za różne zdrożności spadły z 120 na 30 marek, kary sądowe ze 100 na 25 marek.

Ks. Kapica przekonał się jednak niebawem, że nie dość działać dla trzeźwości w jednej parafii. Działanie takie nie może mieć trwałości. Dla tego postanowił rozszerzyć ruch trzeźwości na cały Górny Śląsk. Zwrócił się przeto do arcypasterza dyecezyi, ks. kardynała Koppa, który z zapałem poparł usiłowania jego, wydając do dyecezyan wspaniały list pasterski o potrzebie i pożytku trzeźwości i wzywając duchowieństwo oraz wiernych do walki z alkoholem. Ks. Kapicę zamianował dyrektorem wszystkich górnośląskich bractw trzeźwości i nadał prawo, mówić kazania we wszystkich kościołach dyecezyi i zakładać bractwa trzeźwości. Tak tedy dzięki wielkodusznemu poparciu księcia-biskupa wrocławskiego dla pracy ks. Kapicy otwarło się bardzo wielkie pole działania.

Tymczasem też ks. Kapica badał wszechstronnie sprawę alkoholu i poznał, że aby pijaństwo wytępić, nie dość walczyć z gorzałką, a nadto że sprawa trunków gorących nie jest tylko sprawą pijaństwa, lecz sprawą zdrowia, dobrobytu, przyszłości rodu ludzkiego, że jest w całem znaczeniu słowa sprawą socyalną. Przedewszystkiem jednak doszedł do przekonania, że alkohol skutecznie zwalczać może tylko ten, kto sam jego niewolnikiem nie jest, kto sam trunków nie używa. Zwłaszcza ksiądz, nawołujący do trzeźwości, powinien sam być abstynentem czyli trunków zupełnie nie pić. Tak tedy ks. Kapica wyrzekł się wszelkich alkoholowych napoi i został abstynentem.

Od tego czasu rozpoczyna się apostołowanie ks. Kapicy na całym Górnym Śląsku. Niestrudzony dążył z jednej parafii do drugiej, i odprawiał misye kilkodniowe. Dzień w dzień wypowiadał po kilka kazań przeciwko alkoholowi. Lud zbiegał się licznie na te nauki. Bo też warto posłuchać tych pełnych zapału, rozumu, miłości przemów. Słysząc ks. Kapicę, na misyi, każdy się przekona, że to, co ludowi mówi, płynie nie tylko z głębokiego przekonania, nie tylko z serca miłującego serdecznie swój lud, ale także z wielkiego rozumu, który zbadawszy do samego dna sprawę, i objąwszy ją w całej rozciągłości, z wielkiego i całkiem w duchu czasu pojętego punktu widzenia ją omawia. Te kazania są zaiste godne i tego, który je wypowiada i sprawy, której się tyczą.



Ks. Jan Kapica.

Ks. Kapica rozumie jednak dobrze, że same środki kościelne, a więc mianowicie bractwa o religijnym przeważnie charakterze, do pokonania wroga nie wystarczają. Dla tego nie mniej pilnie bierze udział w usiłowaniach antialkoholowych poza kościołem. Za jego sprawą powstał związek trzeźwości dla Górnego Śląska, którego zadaniem urządzać zebrania, wydawać pisma ulotne, wpływać na władze i ciała ustawodawcze w kierunku ruch antialkoholowy popierającym.

Ks. Kapica wydał książeczkę do ludu p. t. „Pytania sumienia o piciu", broszurę p. t. „Zasady co do abstynencyi." Oprócz tego 15 krótkich kartek, rozdzielanych osobno, we formie rozmowy między pijakiem a abstynentem.

W kongresach antialkoholowych, jakie się odbyły we Wrocławiu, Dreźnie, Berlinie, Bremenie, Wiedniu, wziął ks. Kapica udział i przemawiał na nich. Najlepszym zaś dowodem, jak mówić potrafi, fakt, że w Bremenie, na zebraniu ludowem, gdzie tylko Niemcy i protestanci się znajdowali, wszystkich serca sobie zdobył.

Skutek tej pracy ks. Kapicy na Górnym Śląsku jest ogromny. Przytoczymy jeden dowód. Na sądzie w Bytomiu, jednym z największych monarchii pruskiej, zauważono, że od czasu agitacyi przeciwko alkoholowi, liczba procesów o pobicie, obelgę i tym podobne przestępstwa, zmniejszyła się mniej więcej o czwartą część.

Duchowieństwo katolickie na G. Śląsku popiera usiłowania ks. Kapicy i zyskuje sobie przez to wielką i trwałą zasługę około dobra ludu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GUSTAW GWOZDECKI.

Sztuka na wystawie w Krakowie.

Dziwnego uczucia doznaje się przy zwiedzaniu krakowskiego pałacu sztuki bezpośrednio po wystawie poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych.

Zdawać by się mogło, że dozna się olśnienia, że zapomni się zupełnie o poznańskiej wystawie, jako o czemś miniaturowem, czemś bardzo biednem. Tymczasem innego zupełnie i zgoła niespodziewanego wrażenia doznaje człowiek, zwłaszcza, jeżeli ktoś salon krakowski już od wielu lat zna.

Sztuka idzie naprzód, żyje i zmienia się tak jak ludzie; zmieniają się wieki, ery, epoki.

A tutaj w Krakowie, w tym cudnym Krakowie, tak dziwnym, tak naszym, w tem mieście, które wygląda całe na muzeum, które ma tak dziwny urok i czar, w którem obecność królewskich popiołów uświęca wspomnienie tego dawnego polskiego życia, pełnem tętnem płynącego i którego tu pozostały może tylko pamiątki, lecz silne jak opoka — w tem mieście szczęśliwem swą pięknością, szlachetną polskich Aten, mieście, które jakby się zdawało marzenie artysty odbudowało na jubileuszową polską wystawę, w tem mieście, w którem ani przechodzący szlachcic z karabelą (spieszący może teraz na jaką kostyumową uroczystość) nie jest niczem dziwnem, jak i banderya krakusów, idąca z muzyką przez ten piękny rynek, z którym rywalizuje może tylko plac Maryi w Monachium, — w tem mieście przodującem myśli, sztukom, architekturze, — tym najszlachet-

niejszym podstawom kultury prawdziwej — sztuka śpi.

Zasnął Kraków w sztuce po śmierci Stanisławskiego i Wyspiańskiego.

Życzyć by nam należało, żeby ten sen nie trwał za długo, by z niego reakcya pseudo-sztuki nie skorzystała dla swych celów osobistych, nieczystych, by ten sen był pokrzepieniem.

Wracając do zwiedzania krakowskiego Pałacu Sztuki przy wejściu na wystawę nasuwa się znany dwuwiersz:

„Wszystko tak jak było
Tylko się ku starości nieco pochyliło."

Widzimy westibul urządzony w taki sposób, by połączyć wspaniałość z oszczędnością. raczej z biedą. — Są tam bogate sztukaterye, obfite w złocenia, przypominające trochę foyer teatralne a trochę wnętrze kawiarni w stylu secesyi, w tym westibulu stoją od wielu wielu lat jedne i te same rzeźby olbrzymie, które przedstawiają smutny widok swych kruchych gipsowych kształtów kurzem posypanych.

Spostrzegamy tam witraże w stylu bardzo niepolskim a bardziej kosmopolitycznie kawiarnianym.

Jednak wystawione tam dzieła wymagają lepszego, świeższego otoczenia — należy się im to bezwarunkowo.

Prace rozmieszczone bardzo starannie dzięki sekretarzowi p. Boehmowi, który często sam zastępuje nieprzybyłych członków komisyi artystycznej, jednak spostrzega się reakcyjne dążenie do zawieszania obrazów w dwóch rzędach, by więcej pomieścić — tak jak to dawniej bywało.

W wielkiej sali, naprzeciw wejścia są rozwieszone prace Sichulskiego.

Artysta ten dzięki żywotności swego talentu i wrodzonej odporności na zewnętrzne przeszkody — rozwija się. Jego „Młyn" — praca bardzo spokojna, brak maniery doby dzisiejszej i wczorajszej, cisza nocy księżycowej, jasnem światłem oblewającej stary młyn, który odbija się na tafli wody, z jakąś dziwną prostotą środków jest ta praca wykonana.

„Dworek", o zmierzchu, w chwili tak miłej, gdy po całodziennym upale czuje się miły chłód, w chwili gdy z większym spokojem i większą pogodą ducha patrzy się człowiek na naturę — czysty, schludny dworek otoczony ogrodem.

„Konie" — chłopskie a raczej drobnomieszczańskie, nadzwyczaj charakterystycznie oddane, jeden z nich łaciasty jak krowa, widać wyraźnie jego ruch ogona używany często przez konie: z góry na dół raz po raz. Koloryt twardy, lecz wdzięk Cezonnowskiej naiwności widoczny w tym obrazie.

„Wiatrak" z ogromną siłą rzucony na płótno, harmonia szarych barw pochmurnego wietrznego dnia na jakiejś spalonej słońcem opustoszałej wydmie.

„Śpiące gęsi" — nokturn księżycowy dziwnie jasny, zmieniający znane kształty w dniowem swem oświetleniu, obszar spokojnej wody wśród nocnej ciszy.

Najwięcej zajmującemi z prac Sichulskiego są jego projekta na witraże i frągment tych projektów. Piękne one są swą siłą niezwykłą, swą polskością kresów jej wschodnich, ze swą słowiańską ekspresyą i potęgą sentymentu. Jakaś modlitwa trzech czystych dusz wiejskich, chłopiąt na tle krajobrazu w pełnym rozkwicie, tęsknota do nieskończoności, natury wśród kwiatów polnych, dzikiej paproci, modlitwa pod krzyżem Chrystusa ukrzyżowanego, krzyż ten wrósł w ziemię i puszcza z siebie gałęzie z zielonemi wiosennemi pąkami. Tu nasuwa się pełne goryczy pytanie:

— Czy te witraże będą kiedy wykonane? Czy je ujrzymy w jakim kościele, gdzie będą one czystą szczerą modlitwą sztuki, taką, jaką był gotyk?

— No tak, widzi pan... wszystko dobrze — ale co nasz lud na to powiedziałby, nasz lud nieprzyzwyczajony...

— Nasz lud może więcej czuje od Was, panowie fundatorowie, tę niepokalaną wrażliwość, posiada on to, co Mikołaj z Kur nazywa *„docta ignorantia"*, nasz lud może niema zdeprawowanych pojęć o sztuce, niemogących wyjść poza szablon niemieckich świętych, importowanych często przez żydów, aby handel szedł. Tyle o tem powiedziano, tyle o tem napisano, lecz pomimo to zwykle kończą się takie sprawy artystyczno-fundatorskie zbrodnią ukrytą, zabójstwem polskiej sztuki, w ukryciu paktem z sumieniem artystycznem. Smutne to, lecz prawdziwe i nazbyt częste!...

Sczyglińskiemu zaszczyt przynosi wystawiony jego większy obraz „Noc na plantach", ukochany motyw, do którego często powraca. Noc wiosenna, gdy wiatr ciepły przynosi świeży zapach mokrej, zoranej ziemi, na pierwszym planie oświetlony blaskiem latarni kasztan, którego wiosenne pąki złocą się na tle aksamitno-szafirowej głębokiej nocnej głębi, pod drzewem idzie drzemiąc ciemna sylwetka krakowskiego nocnego stróża z halabardą i z rogiem, błyszczącym w ciemności. Nieopodal drugi obraz Sczyglińskiego, motyw z plant słoneczny i wiosenny w bardzo czystej harmonii kolorów.

Pomiędzy temi pracami rozwieszone są prace Ćwiklińskiego, sumienne, pełne sentymentu i umiłowania natury, lecz dalekie od sąsiedniej świeżości i siły, zasmucają one swym kolorem i wązką skalą barw oleodruku. Na trzeciej ścianie zwracają uwagę Krasnowolskiego prace o silnym kolorycie, zwłaszcza o pięknym błękicie sukienek wiejskich dziewcząt, o sentymencie ich główek.

O czwartej ścianie nie wspomina się, gdyż zawieszona jest wyłącznie pracami podpisanego.

W następnej sali panuje Jacek Malczewski swemi pracami ostatniego okresu o silnej kolorystyce i jędrnym przeczystym rysunku. Monumentalny portret starszego pana z brodą o olimpijskim spokoju wyrazu twarzy, po drugiej stronie portret Stasiaka w pleinairze, kolor twarzy oświetlonej refleksami słońca razi niepowołanych krytyków, dla których jest za czerwona, pośrodku portret młodego człowieka z floretem w ręku, na drugiej ścianie znany już z poprzedniej wystawy wielki obraz do poematu „Anhelli."

Prace Jacka Malczewskiego są zawsze młode, zawsze silne i zawsze sumienne.

Nie stosuje się do tego sąsiedztwa obraz Brandta, wyglądający, jakby wyjęty z za szyby handlarza obrazów, temat i maniera Brandta — to jest cała wartość tego obrazu, nie licząc objaśnienia, że „pocztówki z produkcyami tego obrazu można nabywać w kancelaryi."

Jarockiego portret — praca, jakie rzadko się spotyka, tyle tam jest prawdy tak silnie, choć z takim spokojem wypowiedzianej, w tym młodym chudym człowieku w ciemnych okularach, otulonym w futro, na tle wysokich gór, jeżeli mamy przesunąć paralelę, trzebaby do niej użyć prymitywów. Patrząc na tę pracę nasuwa się myśl, że Muzeum Narodowe powinno baczniejszą uwagę zwracać na pojawiające się dzieła artystów, nie powinno się kierować względem na wiek, godność, zasługi, powinno zgromadzić dzieła z najsilniejszego okresu twórczości artysty, o ile ma być dział sztuki a nie tylko dział autografów i pamiątek.

W ostatnich czasach była wiadomość we wszystkich pismach, że Muzeum Narodowe zakupiło obraz Jana Matejki „Wernyhora". Obraz ten wisiał w Muzeum od wielu, bardzo wielu lat, ogłoszenie więc o zakupie było wiadomością o doszłej do skutku bardzo długiej transakcyi — nic zatem dziwnego, że niejeden popatrzał na datę pisma, które czytał, żeby się przekonać, czy nie jest to numer z przed dziesięciu lat.

Muzeum śpi...

Pozostawiwszy Muzeum w spokoju, powracamy do zwiedzania wystawy, gdzie kilka prac Vlastimila Hoffmana przykuwa uwagę pogodą swego smutku, łagodnością dziecięcych twarzyczek i barw pogodnego dnia.

W tejże sali jest parę portretów — Wodzinowskiego dobrze rysowany i z poczuciem upozowany, Augustynowicza — bardzo drobiazgowo sumienny, lecz dziwnie suchy. Dalekim jednak od sumienności poczucia artystycznego jest twardy zupełnie portret Krzesza, a nieopodal wiszący „Giewont" jest smutną pracą w swej humorystyce. Ten wspaniały śpiący rycerz wygląda na leżącego pijanego Maćka, co uzupełnia sino-czerwony jego kolor i rozwarte usta.

Śniegowe krajobrazy Gałka z prawdą i chłodem oddają puszystość świeżego śniegu.

Rzeźba jak zwykle na naszych wystawach reprezentowana jest bardzo skromnie.

Łaszczki „Wyspiański" jest dziełem pełnem szczerej artystycznej intencyi, lecz dalekie od niego są inne portrety wykonane w marmurze, a „Opuszczona" przypomina znaną pracę z salonu paryskiego młodszego kolegi — rzeźbiarza Wittiga. Pelczarskiego „Chłopczyk" jest więcej anekdodą, figielkiem, niż rzeźbą.

Niespodziewanie znalazło się na wystawie arcydzieło nieodżałowanego Kurzawy, na które ze smutkiem patrzymy, ponieważ widzimy je zniszczone, zbrukane i nieutrwalone ani w bronzie ani w marmurze, ale tylko w kruchym gipsie.

W dziale sztuki stosowanej, jest praca większej wartości, praca małżonków Rychterów, jest to makata sukienna, przedstawiająca śniegową płaszczyznę o zmierzchu i masę wron trzepoczących się na gałęziach.

W jednej z licznych sal tak zwanej świetlicy „Dziwny człowiek“ — opisany przez Stanisława Witkiewicza. Maryan Siedlecki urządził wystawę reprodukcyi światłodrukowych rosyjskich malarzy. Są tam prace, z których bardzo wiele jest ogółowi nieznanych, lecz są to przeważnie prace retrospektywne, i żałować należy, że niema tych, które mogłyby dać pojęcie o całości i sile współczesnej sztuki rosyjskiej, która się rozwija z taką mocą w ostatnich czasach.

Miejsce obecnej wystawy zajmie najnowszy związek artystów „Zero“.

Z teatru.

„Upiory“ Henryka Ibsena.

„Upiory“, które w ostatni wtorek dość skąpą liczbę publiczności zgromadziły w teatrze, należą do najgroźniejszych, może lepiej, do najokropniejszych, najstraszliwszych tragedyj, jakie wymarzył geniusz ludzki.

Jestto druzgocząca potęgą prawdy i realizmu ilustracya twardych słów biblijnych, które opiewają, że grzechy ojców mszczą się na dzieciach i wnukach w późne pokolenia.

Oswald Alwing po dawno zmarłym ojcu, rozpustniku i pijaku, wziął w spuściźnie zaród choroby mózgowej, której wybuch i stopniowy rozwój, z wszelkiemi mu towarzyszącemi okropnościami, uwydatnia autor z naturalistyczną, żeby się tak wyrazić, kliniczną ścisłością. Bodaj większe katusze od samegoż Oswalda, przechodzi jego nieszczęśliwa matka, której jedyną winą jest — jeżeli to wina — że nie potrafiła się oprzeć dyalektyce pastora Mandersa, gdy, porzuciwszy na długo przed urodzeniem Oswalda znienawidzonego męża, dała się nakłonić pastorowi do powrotu w dom mężowski.

Potem urodził się Oswald.

Przyczyna tragedyi Oswalda leży po za nim. Istniała przed jego urodzeniem. Zaciążyła zaś nad jego losem niezniszczalna i nieugięta, jak starożytnych nieubłagane Fatum, z chwilą, gdy się począł w łonie matki. Odtąd nie ma dla niego ratunku, jak nie było go dla bohaterów tragedyj greckich, którzy nadaremno przeciw Losowi podnosili dłonie. Naznaczony on jest czarną ręką przeznaczenia. Musi zginąć, albowiem tak chce spiżowe prawo przyrody, prawo dziedziczności. Nie jest on bohaterem — jest ofiarą, której trwoga śmiertelna przed zbliżającą się katastrofą szarpie nielitościwie nerwy widza, a mękę podwaja przeświadczenie, że to, co widzimy na scenie, nie jest produktem wyobraźni pisarza, lecz najrealniejszą rzeczywistością, powtarzającą się dzień w dzień u tyluż innych ofiar, potomków zwyrodniałych rodziców!

Świadomość ta, która nas nie opuszcza na chwilę, przygniata nas swym ciężarem. Wychodzimy z teatru — jeżeli wytrzymaliśmy do końca — zgnębieni. Ani śladu w nas z tych uczuć podniosłych, które budzą idealistyczne tragedye wielkich mistrzów starej szkoły.

Pesymistyczny dramat Ibsena druzgocze. To jego wielka siła, ale i słabość.

Henryk Ibsen jest bezsprzecznie jednym z największych pisarzy scenicznych. Jako artysta dał on dramatowi nową formę, jako myśliciel tchnął weń nową treść ideową, jako reformator społeczeństwa ludzkiego, uwydatnił w nim tendencyę, nierzadko ze szkodą dla dramatu, jako dzieła sztuki. Takim tendencyjnym dramatem jest także omawiana tragedya. Autor pragnie poruszyć sumienia wskazując na okropne skutki, jakie wynikają dla potomstwa z hulaszczego życia lekkomyślnych ojców.

To jest dominująca tendencya w „Upiorach“. Po zatem rozsypał autor w dyalogach szereg twierdzeń i postulatów, które dziś co prawda już nie są nowe. Nie mniej poruszają one sumienia i dziś jeszcze znajdują żywy oddźwięk wpływając tem samem na formowanie się światopoglądów i zasad. Ibsen wyrył swe piętno na swej epoce.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć kilka słów o grze artystów.

Rolę pani Alwingowej objęła p. Sokolicz i wywiązała się z zadania bardzo dobrze. Artystka potrafiła wniknąć w intencye autora i dała nam kreacyę ze wszech miar sharmonizowaną. Było w tej grze dużo artystycznej powściągliwości, dużo przekonywującej prawdy. W niektórych miejscach trafiła artystka w ton prawdziwie wielki.

Oswald pana Bogusińskiego natomiast pozostawiał do życzenia. Artysta, którego skądinąd wielce cenimy, nie nadaje się do ról podobnych. Nie potrafił też dać kreacyi jednolitej. Nadmienić wszakże należy, że rola Oswalda należy do najtrudniejszych z całego repertuaru ibsenowskiego i rzadko kiedy bywa graną bez zarzutu.

Postać pastora Mandersa uwypuklił p. Janosza z właściwym sobie talentem. Pomniejsze role stolarza i Reginy znalazły się u p. Czaki'ego i p. Sznagowej w dobrych rękach.

Całość wypadła dobrze. *R.*

ELSTERA.

Biały pod nim arabczyk zrywa się do skoku,
Burka szumi na wietrze, nito orle pióra —
I skoczył: piany srebrnej owiała go chmura —
I krwawieje ułanka jak gwiazda w obłoku!



Książę Józef Poniatowski.
Ur. 7. V. 1763 r. — um. 19. X. 1813 r.

Ryk armat! - Dym! — Płomieni złoto i purpura!
Drapieżna ręka śmierci wysunięta z mroku!...
Koniu! Koniu rycerski!... O płyń! Krok! Pół kroku!
O fało! Nie bądź katem!... O fało ponura!

Trzask! Imperium się wali! Ludy! Epos kona!
O gwiazdo! Gwiazdo Polski i Napoleona!...
Pękły niebios wierzeje — i grom z nich uderzył!...

A z ziemi, jak mgła, płynie i w lazurach stawa
Postać blada śmiertelnie — zadumana — krwawa —
I — we łzach — zwraca Bogu, co jej Bóg powierzył!...

Or-Ot.



Członkowie Kółek rolniczych powiatów gnieźnieńskiego i witkowskiego ze swymi prezesami.

Walne zebranie Kółek rolniczych

w połączeniu z wystawą.

Walne zebranie Kółek rolniczych powiatów gnieźnieńskiego i witkowskiego w połączeniu z wystawą odbyło się w niedzielę dnia 27-go z. m. w Witkowie w lokalu p. Deskowskiego. Zebranie zagaił wicepatron pan Chełmicki z Kosmowa, zwalczając niesłuszne obawy tych gospodarzy, którzy uważając wystawę za przedwczesną dla tutejszej okolicy, przez zbytnią skromnoć wstrzymali się od wystawienia tak bydła jak płodów. Wystawa skutkiem tych obaw przedstawiała się bardzo skromnie ilościowo, za to jakościowo wypadła zupełnie zadawalająco. Sędziowie w osobach pp. hrabiego Leona Żółtowskiego z Niechanowa, Rzewuskiego z Arcugowa i gospodarzy Graczykowskiego i Kowalskiego, pomimo, iż zadanie swe traktowali zupełnie poważnie i sumiennie, przyznali jednak w dziale bydła, trzy nagrody, mianowicie: p. Kralowi z Witkowa I-szą nagrodę za dwuletniego stadnika rasy oldenburskiej własnego chowu; p. Grzeczce z Potrzymowa (z kółka żydowskiego) II-gą nagrodę za mleczną krowę 6-cio letnią rasy simentalskiej, a p. Dunajowi z Małachowa, członkowi z kółka kędzierzyńskiego) za 2-letnią krowę oldenburską III-cią nagrodę. — W dziale koni zdobył I-szą nagrodę p. Dunaj z Małachowa za ogiera 3-letniego ciemnokrwistego, II-gą nagrodę p. Staszewski z Małachowa za źrebię 4-ro miesięczne, a III-ciej nagrody nie przyznano nikomu. W dziale ziemiopłodów przysądzono I-szą nagrodę p. Grzeczce z Potrzymowa za wystawione zboża w snopach, ziarno i okopowe z nadzwyczajnem uznaniem pięknej formy, w jakiej umiał płody swe przedstawić, II-gą nagrodę p. Dunajowi z Małachowa za kartofle, III-cią nagrodę p. Maciejewskiemu z Małachowa za pastewne buraki. — Reprezentant firmy „Camera“ w Poznaniu poczynił zdjęcia fotograficzne pięknych okazów, oraz grupy uczestników. (Zamieszczamy reprodukcye. — Przyp. Redakcyi.)



Pan Kral z Witkowa otrzymał pierwszą nagrodę za dwuletniego stadnika rasy oldenburskiej.

Panie Rzewuska z Arcugowa i Chełmicka z Kosmowa przyznały w dziale gosp. domowego I-szą nagrodę córkom p. Grzeczki, za miód w plastrach, miód do picia, wspaniałe jabłka i winogrona w ozdobnych koszach wystawione.

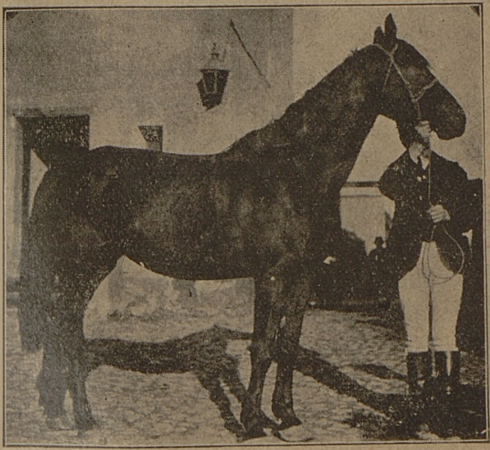


Pan Grzeczka z Potrzymowa (z Kółka żydowskiego) otrzymał drugą nagrodę za mleczną krowę sześcioletnią rasy simentalskiej.

Po ogłoszeniu wyniku nagród otworzył wicepatron p. Chełmicki walne zebranie, prosząc na ogólne życzenie niestrudzonego pracownika na polu kółek czcigodnego p. Malczewskiego z Odrowąża, aby przewodniczył zebraniu. Pan Malczewski podziękowawszy zebranym gospodarzom w pięknem przemówieniu za zaufanie, jakiem go zawsze obdarzali, powołał na ławników wszystkich prezesów kółek obecnych, w liczbie których prócz ziemian i duchownych zaprezentował się spory zastęp przedstawicieli stanu włościańskiego; i z tego stanu wybrał sekretarza w osobie p. Dunaja. — Odczyt p. Laskowskiego, dyrektora dóbr ordynacyi czerniejewskiej „Obornik a sztuczne nawozy“ znalazł takie uznanie, iż poproszono prelegenta, aby zechciał takowy wydrukować w „Poradniku,“ wyrażając wszakże życzenie, aby cyfry zamiast w hektarach i kilogramach, w centnarach i morgach wyrażone były. Pan Frąckiewicz z Pakszyna wykazał następnie w krótkim odczycie korzyści, jakie mamy z kółek rolniczych. Program był obfity i pora spóźniona — pociąg w stronę Gniezna miał właśnie odchodzić — jednakże niejeden wolał się zapóźnić a nie stracić pięknego widoku obrazów świetlanych illustrujących znakomity odczyt p. Brownsforda o „Szkodnikach.“ — Odczyt ten odczytał p. dr. Chrzanowski z Czechowa, a obrazy objaśniał p. wicepatron. Firma „Camera,“ (właściciel B. Śniegocki w Poznaniu), której p. wicepatron powierzył techniczną demonstracyę obrazów świetlanych, wywiązała się znakomicie ze swego zadania. Pan dr. Chrzanowski czytał tak wyraźnie, a obrazy ukazywały się tak ostro, na ekranie, że przy niejednym chwaście sami gospodarze z podziwieniem na-



Pan Dunaj z Małachowa (z Kółka kędzierzyńskiego) otrzymał trzecią nagrodę za dwuletnią krowę oldenburską.



Pan Dunaj z Małachowa otrzymał pierwszą nagrodę za ogiera trzechletniego ciemnokrwistego.

zwę jego wywoływali wpierw zanim takowa padła z mównicy; ale prawdziwy szał zachwytu owładnął salę, gdy na olbrzymim ekranie ukazała się udatnie wykonana podobizna ukochanego Patrona, pana Chłapowskiego i jakby mimowiednie rozległ się z kilkuset dzielnych piersi polskiego ludu długo niemilknący okrzyk: „Niech żyje!“

Jeden z obecnych.

Dział kobiecy.

Królowe jako kobiety.

Kiedy królowe udają się za sprawunkami, zwykła etykieta dworska jest usuwaną i najpoważniejsze nawet panujące chodzą po sklepach, przeglądając najpierw wystawy, jak zwykłe śmiertelniczki ze wszystkich miast europejskich. Paryż terenem najodpowiedniejszym do tego rodzaju sprawunków; jest on też przez obecne panujące ponad inne miejscowości przekładany.

Wczesną już wiosną królowa angielska Aleksandra zjeżdża do stolicy Francyi, w której spędza około tygodnia, cały ten czas poświęcając swym osobistym, czysto niewieścim interesom. Stali mieszkańcy Paryża łatwo zauważyć mogą codzień o jednej porze zatrzymujący się przed najpierwszymi dostawcami strojów kobiecych — ekwipaż. Jest to powóz królowej angielskiej, która w towarzystwie jednej z dam dworu godziny całe spędza nad obmyśleniem samych jedynie sukien wizytowych, gdyż według jej własnego orzeczenia, w rodzaju angielskim nikt nie dorówna krawcom londyńskim.

Królowa angielska jest zwolenniczka ogromnych trenów, których też wymaga od wszystkich swoich dam dworu i w ogóle od kobiet, bywających na dworze. Powłok sukni królowej wynosi około 7 metrów długości i niema zapewne drugiej kobiety na świecie, któraby dobrowolnie pragnęła w ten sposób krępować sobie ruchy. Najulubieńszą materyą królowej, przeznaczoną specyalnie na treny, jest: albo niebieski atłas, lub też różowy lyoński aksamit.

Dostawcami kapeluszy są jednak nietylko paryskie modniarki. Co do kształtów ma ona swój gust osobny, przenosząc toki i duże angielskie fasony nad inne.

Królowa Aleksandra wydaje przecięciowo 120,000 mrk rocznie na swoje ubranie.

Suma ta jednak obejmuje już i klejnoty, których jest wielką lubowniczką, a także i suknie dworskie na poszczególne uroczystości.

Przed paru laty cesarzowa rosyjska spędziła kilka tygodni w Paryżu, poświęcając dużo godzin chodzeniu po skiepach. Spotkawszy się z królową angielską, wyraziła swe zdanie, że futra i biżuterye miejscowe nie mogą się nawet równać futrom i drogocennym kamieniom jej własnego kraju. Królowa angielska zdołała zaledwie namówić monarchinię rosyjską do kupna paru sukien u pierwszorzędnego krawca paryskiego, Wortha. Cesarzowej rodzaj sukien podobał się bardzo, jedwab tylko nie zyskał uznania. Kazała też sprowadzić go sobie z Moskwy, gdzie pewna fabryka według zdania cesarzowej posiada najlepszych tkaczy z całego świata.

Caryca z zapałem zbiera sztychy, szczególniej francuskie, to też ilekroć przyjeżdża do Paryża zawsze udaje się na poszukiwania, kierując się wskazówkami osób kompetentnych.

Królowa portugalska, według opinii ogółu, ma być, zaraz po królowej angielskiej, najpiękniej ubierającą się kobietą na świecie. Pomimo stosunkowo skromnego ubioru, poświęca ona dużo czasu na obmyślanie swych gustownych strojów. Najwybredniejsza jest jednak w amazonkach, w których najmniejsza zmarszczka stanowi o nieprzyjęciu zamówienia. Królowa Amelia zużywa mniej więcej około 12 amazonek rocznie, jest bowiem wielką amatorką konnej jazdy.

Gorsetów kupuje sobie najmniej 12 rocznie, płacąc po 200 do 300 mrk. za sztukę z warunkiem jednak, aby dobrze leżały i były wygodne. Kiedy królowa po raz pierwszy w Paryżu kupowała sobie gorset, zauważyła, że gorseciarka zbyt mocno ją zasznurowała. Nie zrobiła jej jednak najmniejszej nawet uwagi i tylko następnym razem przyniosła jej fotografię, zdjętą promieniami Roentgena, a przedstawiającą szkodliwy wpływ, jaki wywiera na rozwój kobiety zbyt silne krępowanie gorsetem.

W przeszłym roku królowa portugalska miała najpiękniejszą suknię, zrobioną według własnego pomysłu. Suknia ta była z popielatego „crepe chiffon,“ pokryta cała takiegoż koloru wspaniałemi dżetami, prócz tego spódnica u dołu zahaftowana była w srebrno-różowawe promienie.

Poza tem jest wielką zwolenniczką starych koronek, których posiada zbiór wspaniały.

Królowa holenderska, aczkolwiek wielka patryotka pod każdym innym względem, zachwyca się na równi z innemi panującemi smakiem i wykwintem paryskich wyrobów. Większa część jej wyprawy zamówioną była w Paryżu. Ulubionymi jej kolorami są: biały i zielony.

Królowa Holandyi, jak i wszystkie zresztą panujące, lubuje się w pięknych strojach, płacąc bez namysłu żądaną sumę dla dogodzenia swym zachciankom.

Niedawno, będąc w Paryżu, królowa zachwycała się złotą portmonetką. Towarzysząca jej królowa - matka zwróciła córce uwagę na zbyt wygórowaną cenę, rezolutna królowa odpowiedziała jednak, że wie i rozumie dobrze, iż suma 3,000 fr. jest dużą kwotą, ale jej się ten woreczek podoba, a więc i przyjemność, jaką będzie odczuwała, warta jest tej sumy.

Doświadczenie nauczyło francuskie modniarki pokazywać królowej jedynie zielone, niebieskie i białe kolory, rzucając na nie światło elektryczne, aby uwydatnić lepiej ich przedziwne barwy.

Królowa Helena włoska lubi tylko kolory wesołe i w ogóle bardzo modny i oryginalny rodzaj ubrania. Szwaczki i modniarki szepczą o niej pocichu, że za bardzo lubi się targować, że jest bardzo grymaśną. Królowa nie poprzestaje na jednym magazynie. Gdy zwiedzi ich co najmniej ze sześć, dopiero wtedy zamawia.

Królowa włoska-matka przy robieniu zamówień zajmuje swą osobą cały personał, który, zanim dostojna klientka raczy coś wybrać, musi przedtem cały sklep przerzucić do góry nogami. Mimo to jednak jest bardzo hojna, a nawet rozrzutna, potrafi bowiem kupić na raz tuzin kapeluszy i rękawiczek, nie pytając się nawet o cenę.

K. K.

NASZE RYCINY.

Król Wajdelotów.

W salonie sztuki poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych przy ulicy Bismarka nr. 1. wystawione są obecnie między innemi obrazy artysty malarza, p. Jerzego Hulewicza; rozmiarami uderza wielki jego obraz p. t. „Król Wajdelotów“, którego reprodukcyę zamieszczając na albumowej rycinie, zachęcamy jednocześnie naszych czytelników do pilnego zwiedzania wystawy, o której pisaliśmy w numerze 40-ym w artykule p. t. „Z salonu sztuki.“; są tam różne dzieła malarskie widzenia godne.

Z bieżącej chwili.



Ferdynand Bułgarski, obecnie car niepodległej Bułgaryi.

Jak wiadomo, przyłączenie Bośni i Hercogowiny do Austryi, ogłoszenie Bułgaryi niezawisłem królestwem, oraz mianowanie księcia bułgarskiego Ferdynanda carem niepodległej Bułgaryi stało się faktem dokonanym. Rozbiór Turcyi jest prawdopodobnym a niebezpieczeństwo wojny wisi w powietrzu.

Nowe książki i treść pism.

— **Św. Kaźmierz, Królewicz.***) *Obrazek historyczny, przedstawiony na tle ówczesnych stosunków społeczno-politycznych przez Ludwika z Łukaszewic.*

Dobrym i dla narodu polskiego zbawiennym nazwać należy pomysł wydawania powieści, pod względem moralnym tak czystych, iżby je bez wahania można dać do ręki każdemu, kto czytać pragnie. Taki pomysł powzięła i wykonała Biblioteka „Katolika" w Bytomiu na Gór. Śląsku, Spółka wydawnicza z ogr. odpow.

W szeregu wyszłych już z druku powieści tejże Spółki przeczytałem z jak największą przyjemnością sporą z wymienionym powyżej tytułem książkę, która niewątpliwie uraduje tak samo, jak i mnie serce każdego Polaka, mianowicie w dzisiejszej chwili naszego męczeńskiego żywota.

Autor książki pod przybranem nazwiskiem swego dziada po kądzieli — zowie pracę swą skromnie obrazkiem historycznym, gdy tymczasem, wedle zdania mego, jest on obrazem wykończonym, oddającym wiernie ducha ówczesnych stosunków, obrazem, artystycznie namalowanym, w którym osoby w nim przedstawione są pełne ruchu i życia.

*) **Piękną tę książkę można nabyć w Ekspedycyi „Pracy" za przesłaniem 60 fen. w znaczkach pocztowych.**

Ażeby książka zajęła umysł i serce warstw ludowych po wsiach i miastach, użył autor formy powieściowej, w której występują na widownię także osoby nie historyczne, ale działające i mówiące tak, jak mówili i działali ludzie w wieku 15. Autor obeznany jak najdokładniej z ówczesnemi drukami, wprowadziwszy do swej książki opowieści przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów, stworzył, że się tak wyrażę małą epopeję. Posiadając zaś talent pisarski, język jędrny i czysto polski podniósł jeszcze więcej jej wartość. Co do głównego bohatera tej powieści historycznej, św. Kaźmierza, tak mało znanego wyższym nawet stanom naszego polskiego narodu, jest on przedstawiony w całym blasku swej świętości i zbawiennego dla narodu działania społecznego i politycznego. Oto kilka rysów charakteru tego świętego Patrona Polski, który obok duszy poetyckiej tak rozległą posiadał wiedzę, że policzyć go można do najuczeńszych mężów jego wieku:

„Ówczesna Polska — tak czytamy w książce — potrzebowała wzoru pobożności, umartwienia ciała, czystości i miłości, które to cnoty tak starannie pielęgnował święty młodzieniec. Obyczaje bowiem ówczesnych Polaków, wiele miały przywar i zepsucia. Miał więc królewicz przed sobą wielkie od niebios zadanie: światłem swego życia rozpędzać mgły złego, które idąc z góry od stanów wyższych, zarażały resztę ciała narodowego. Królewicz nie tylko przykładem życia działał na współczesnych. Zamknięty w bogomyślności, skupiony w sobie, nie miał zamkniętych oczu, uszu i ust na to, co się wkoło niego działo ku szkodzie najdroższego mu ludu. Ta to miłość ku niższym warstwom stanu mieszczańskiego i ludu włościańskiego przerywała jego samotność i wprowadzała go w ognisko życia, co się skupiało u steru władzy najwyższej, na dworze królewskim, by tam działać na korzyść cnoty, sprawiedliwości, Kościoła Chrystusowego. Zajścia i zagadki ziemskiej polityki wykluczył z dziedziny swej pracy i trudów; chciał tylko wypełniać czysto moralne i religijne posłannictwo na dworze króla ojca.

„Z tego też stanowiska potężnie wpłynął na rządy kraju i na osobę królewską. Historya powiada, że za panowania Kaźmierza Jagiellończyka żadne prawo nie zostało uchwalone na niekorzyść stanu włościańskiego, a wiele dla dobra mieszczan. Staraniom królewicza winien Kościół polski obwarowanie praw swych i zabezpieczenie ich przeciw kacerstwu.

„Z głęboką pokorą i uszanowaniem przestrzegał ojca i dodawał mu siły, ilekroć tenże upadał na duchu, lub dopuścić się miał niesprawiedliwości i złamania Boskiego i ludzkiego prawa. Często mu przypominał w sposób najwymowniejszy godność stanu królewskiego, zachęcał i zagrzewał go do jej ścisłego wykonywania w rządzeniu kraju. W mowie poważnej i powściągliwej karcił nadużycia i wybryki dworzan. Dla wszystkich bezwzględnie dobry, łagodny, przystępny, nieubłaganym okazywał się wrogiem wszelkiej swawoli. Czujny i baczny na obyczaje otaczających go osób, wyłącznie obrał dla siebie niwę miłosierdzia, orędownictwa ubogich, nieszczęśliwych i pokrzywdzonych. Na polu pięknej tej pracy tyle złożył poświęceń, tyle wyczerpał nadziemskiego zapału, o ile podołać mogła jego bogata w miłość i dary Boże dusza. Wspierać ubogich wedle potrzeby zasiłkiem, dźwigać upadłych, zbolałych cieszyć, uciśnionych wyzwalać, nędzy i cierpień ciężarem przybitych śpiesznie ratować — było to jego jedynem szczęściem na ziemi. Miał też ku temu wszystkie przymioty i zalety duszy w dziwnem z sobą połączeniu: ujmującą duszy otwartość i słodycz, uprzedzającą dobroć, dziwną zręczność i łatwość w utrzymywaniu z ludźmi stosunków, sąd pewny, przenikliwy i trafny. To wszystko tak do niego ludzi zbliżało, iż go powszechnie wdowy swym opiekunem zwały, sieroty ojcem, ubodzy i nieszczęśliwi pocieszycielem. Tak więc święty królewicz, jaśniejąc życiem anielskiem na widowni całego kraju i najwyższego społeczeństwa zaszczytu, rzucał jasne świątobliwości promienie na wszystkie stany narodu a ciepłem wciąż gorejącej miłości jeszcze skuteczniej pociągał do swego wzoru."

Książka—raz jeszcze nadmieniam — jest tak zajmująco napisana, że kto tylko ją weźmie do ręki, pragnąłby przeczytać ją od razu do końca. Zarówno mąż uczony, jak i mniej wykształcony rodak znajdzie w niej prawdziwe zadowolenie duchowe. Tryskające z niej ożywcze tchnienie, szlachetna dążność, gorąca miłość do kraju ojczystego sprawiają w czytających to wrażenie, jakoby przesyceni gorszącemi płodami dzikiego nowoczesnego piśmiennictwa, odradzali się na duchu i z powietrza pełnego zgnilizny i trujących wyziewów wkroczyli do świeżej, czystej, woniejącej atmosfery.

Autor napisał prócz tej wiele innych to mniejszych, to większych książek, do których brał materyał z życia naszego społecznego i historyczno-politycznego, a nigdy nie podpisywał się właściwem nazwiskiem. Sądzę, że nie obrażę jego skromności, na nie wskazując: jest nim pan Ludwik Gayzler, mąż zasłużony w czasie pierwszej walki kulturnej, najstarszy w Polsce co do wieku redaktor, założyciel, wydawca i główny kierownik wielu gazet.

F. L.

* * *

— „**Krytyki**" wyszedł zeszyt 10 za październik i zawiera następującą treść: 1. (f.): Idea polska w polityce trzech zaborów. 2. Tad. Nalepiński: Chrzest. O Polsce strof czterdzieści cztery. 3. Prof. J. Baudouin de Courtenay: O języku pomocniczym międzynarodowym. 4. Roman Zrębowicz: Nowe poezye (Norwid—Staff). 5. Michał Sobeski: Szlakiem żurawim. 6. Jerzy Kurnatowski: Etyka indywidualna. 7. L. Thomas: Włóczędzy. Tłóm. K. Błeszczyński. 8. Andrzej Strug: Sielanka. 9. Przegląd: 1) Prasa polska. 2) Prasa obca. 3) Peregrinus Polonus: Z marzeń kawiarnianego polityka. 4) Skiba: Ruch kobiecy. 5) Ze sztuk plastycznych. — Kraków. S. Hirszenberg. 6) Junius: Z trzech zaborów. — 10. Sprawozdania naukowe i literackie. Redakcya i Administracya: Stachowskiego 14. Kraków.